

# Jerzy Bralczyk

---

## Antytotalitarny metajęzyk

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4, 45-47

---

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

większość społeczeństwa, idealne my i przeciwstawiona starym porządkowi nowa wspólnota wszystkiego, co niezależne i samorządne. Morał: raz jest tak, a raz inaczej; zachowania, również werbalne, a stąd i znaczenia wyrazów i całych konstrukcji językowych, mają charakter sytuacyjny. I morał drugi: świat jest skomplikowany; dobro i zło są w nim przemieszane, i przez to trudno nieraz uchwytne. Mówiąc coś lub czyniąc, warto rozważyć, czy czasem nie skorzysta na tym Księżę Ciemności. Ale kierując się tą głównie dyrektywą łatwo przeoczyć wiele ciekawych spraw.

### Jerzy Bralczyk: Antytotalitarny metajęzyk

Tytuł tekstu Anny Wierzbickiej zapowiada niemal tak dużo, jak nazwisko jego Autorki: będziemy czytali o jakimś JĘZYKU, o jakichś MECHANIZMACH. Przyznam, że lektura nie zaspokoila mojego apetytu. Sądzę, że nie było w Polsce języka antytotalitarnego, a „mechanizmy samoobrony językowej” kojarzą mi się chyba z czymś nieco innym niż Wierzbickiej.

Reakcje na język totalitarny bywały różne: przejmowanie go nawet przez jego ofiary i przeciwników (używanie LTI przez Żydów pokazuje Klemperer); tworzenie poczwarnych i zabawnych, lecz funkcjonalnych melanży (patrz Babel, Zoszczenko, Jerofiejew, przede wszystkim chyba Zinowiew); rzeczywiste odrzucenie, kiedy to język w niektórych swoich odmianach (najczęściej kolokwialnej, czasem naukowej, czasem innej jeszcze), broni się przed totalitaryzmem nic z niego nie przejmując.

Ta właśnie trzecia sytuacja wystąpiła u nas. Za język obronny uznałbym niewymuszony, choć miejscami wulgarny do plugawości, język ulicy, w którym (inaczej chyba niż w rosyjskiej *prostoriecz*) mało było śladów oficjalnego języka propagandy komunistycznej. Takim językiem byłby język pewnego typu eseistyki humanistycznej, któremu często (i czasem słusznie) zarzucano „ibłowską” bełkotliwość i mętniaćwo, ale nie można było przypisać mu uległości wobec publicznej sztampy. Taki był język Kościoła, a przynajmniej znacznej części tekstów tam powstających.

Ale to była, nie zawsze zresztą programowo uświadamiana, obrona przez odrzucenie. Wykład Anny Wierzbickiej traktuje o czymś innym: o hipotetycznym antytotalitarnym systemie językowym. Nie

dowodzi Autorka istnienia takiego systemu. Z kilku wyrazów i kilku zastosowań powszechnie i od dawna funkcjonujących reguł morfologicznych języka stworzyć się nie da. Ma to tyle z językiem wspólnego, co wymyślenie przez kilku uczniów dla nieulubianych nauczycieli przezwisk, których używanie tak wspaniale pozwala na odreagowanie napięć, a głośne publiczne użycie daje efekt wyzwalający.

Nie przesadzajmy z językami — i tak mamy ich zbyt wiele.

Wykład nie spełnia zapowiedzi, lecz wciąga. Wspaniała jego emocjonalność, tak naturalna dla anglojęzycznego i dawniejszego tekstu-matki, może nie być w należyty sposób odebrana przez przyszłego czytelnika „Tekstów” — zawsze jednak tekst uatrakcyjni. Odejście od suchych filologicznych pomruków na rzecz uroczych kwalifikacji typu: „coś w rodzaju”, „jak gdyby”, „że tak powiem”, „mówiąc z grubsza” itp., skojarzenia *muchy* z *komuchem*, przypisywanie *bezpiece* krzykliwości i łączenie jej z *draką* i *meliną*, interpretownie nazwy *ubecy* przez formułę „beziemne, godne pogardy i nie w pełni ludzkie stwory” — wszystkie te cechy sprawiają, że tekst Wierzbickiej czyta się dobrze i ze zdenerwowaniem.

Dowiadujemy się z niego wielu rzeczy. Co to jest *maluch* (rzecz jasna dla skojarzenia z *komuchem*), że ZMP było w stylu Hitlerjugend, że Konwicki w 1960 roku był oddany reżimowi, że *robot* to słowo „używane przez aparatczyków 'Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej'”. Ale te uproszczenia, nie tylko polityczne i obyczajowe, lecz również merytoryczne (nie zdaje mi się np., by w wyrazie *bezpieka* funkcjonował sufix *-a*, chodzi tu raczej o zupełnie inny typ derywacji, a *-a* jest końcówką mianownika — jeśli to w ogóle nie jest zapożyczenie z ukraińskiego), ułatwiają przecież śledzenie wątku głównego, tego, o co w tekście istotnie chodzi: Polacy przez cały czas dawali słowny odpór.

Wierzbicka, pisząca kiedyś o intersubiektywności intuicji, daje tu takie właśnie intuicyjne i intuicyjnie trafne interpretacje *uboli*, *ubeków*, *ubowców*, *ubecji*. Czy potrzebny jest do tego aparat językoznawczy? Niewątpliwie pozwala on na zobiektywizowanie intuicji. Tak się dzieje w wypadku opisu funkcji sufixu *-uch*, przy bardzo ciekawym wywodzie na temat sufixu *-ol* jako wspólnej podstawy dźwiękowej dla grupy czasowników. Ale też na dobrą sprawę na tym koniec. Reszta — to pełen wdzięku i emocji, subtelny i brutalny zarazem esej wrażeniowy.

Wyrazy analizowane w tym eseju zasługują na uwagę jako dokumenty walki z terrorem i inwigilacją. Ich analiza treściowa jest wysoce przekonująca, a prowadzona *sine ira* byłaby przekonująca jeszcze bardziej. Czy odniosły one zwycięstwo nad swymi denotatami, jak efektownie pisze Wierzbicka? W pewnym sensie tak — nie sposób pisać teraz o komunie nie używając nacechowanego przecież wyrazu *komuna*. Ale czy wyraz *nowomowa* nie jest homogeniczny, czy nie należy do nowomowy? Mówił kiedyś o tym Walery Pisarek, przed zaraźliwością komunistycznego języka propagandy ostrzegał Seweryn Blumsztajn. Być może najgroźniejsze byłoby zwycięstwo komunistycznego języka teraz — nie przez jego pojęcia czy frazeologizmy, ale przez utrwalone w nim, a przez to i w nas skłonności do używania w publicznym mówieniu wyraźnie wymaganej dwuwartościowej oceny, nonsensownych sylogizmów, patetycznych metafor, do przypisywania prymatu wierności leksykonowi raczej niż składni, do abstrakcyjności i dyrektywności i wielu jeszcze innych cech. Miejmy nadzieję, że nie będzie to zwycięstwo pełne.

### Stanisław Balbus: Słowa i desygnaty czy akty i gatunki mowy?

Nie zdołałem, niestety, dotrzeć do pełnej angielskiej wersji pracy Anny Wierzbickiej, której tłumaczone tu fragmenty (choćby po numeracji paragrafów i treści sumarycznego rozdziału ostatniego sądząc) stanowią tylko stosunkowo nikłą część; mam jednak wrażenie, że reprezentatywną i miarodajną. Przedmiotowo, t e m a t y c z n i e rzecz biorąc, jest to, wedle końcowych słów Autorki, „o p o w i e ś ć o polskich nazwach policji politycznej”, czy gdzie indziej: „analiza określeń używanych w j ę z y k u p o t o c z n y m dla nazwania policji politycznej”. Aliści p r o b l e m, już w tytule, oznaczony został niepomiernie szerzej: „mechanizmy samoobrony językowej” przed językowym totalitaryzmem. A więc spenetrowany faktycznie zakres przedmiotowy okazuje się s y n e k - d o c h ą całego problemu. Na wybranych przykładach z wybranego wąskiego zakresu obszarów języka pragnie Autorka w istocie dojść do konkluzji pozajęzykowych: socjalnych, kulturowych, politycznych, bo dotyczących centralnej w rzeczywistości peerelowskiej kwestii „władzy wewnątrz władzy, nigdy nie uznawanej przez ludność za